

Pilinko Franciszek
Nagranie relacji: Jahina Wołczuk
Redakcja maszynopisu: Beata Wołczuk
Temat: Ziemia Lidzka



Urodziłem się 27 maja 1928 roku w Dejnowie, powiat Lida; w rodzinie rolnika. Mój ojciec miał 18 hektarów, to było dość solidne gospodarstwo. Ludzie we wsi mieli rozmaite gospodarcki - były i po trzy hektary, i po 5, i po 25. Nasza gospodarcka była średnia i średnio zamożna była wieś. We wsi Dejnowo mieszkali sami Polacy - nie było żadnego Litwina, ani Białorusina, ani prawosławnego - sami katolicy.

We wsi starsi mówili po polsku, ale po wojnie, kiedy już młodzież chodziła do ruskich szkół, to młodzi nie mówili po polsku. U nas w rodzinie mówiliśmy po polsku między sobą. A jak ktoś przyszedł z wioski, to mówiliśmy "po prostu".

Nasz kościół parafialny był w Trokielach. W Dejnowie przed wojną nie było szkoły, była w Trokielach, a jak przyszli Rosjanie, to już w 1940 roku szkoła była w naszym domu. Wszystkie dzieci z naszej wioski i z oklicznych wsi chodziły do szkoły. Starsze pokolenie nie umiało czytać po rosyjsku, ludzie umieli po polsku. Mój brat miał skończonych 6 klas. Pokolenie naszych rodziców miało szkoły mniej, ale po polsku przeczytać umieli. Książeczke do nabożeństwa miał każdy, i kantyczke, bo u nas było tak przyjęte, że jak ktoś zmarł, to śpiewacy zbierali się i śpiewali po zmarłym. Zmarłego trzymali w domu trzy dni.

Na zabawach młodzież śpiewała po polsku, ale białoruskie pieśni też znali. W naszych stronach nie było wiosek prawosławnych, tylko w tę stronę do Wilna były wioski litewskie. W obrębie może 20 kilometrów, były tylko wioski polskie. Prawosławni byli w stronę na Iwje. Ale okolice Żyrmun, Dojlidy czy choćby Owsiadowa - to wszystko były wioski polskie, katolickie.

Przed wojną może gdzieś tak i było, że brakowało chleba na przednówku, ale można było zarobić u bogatszych.

Pilinko Franciszek c.d. - 2 -

Przed wojną wszystko było robione ręcznie - sierpem, cepem, co najwyżej gdzieś była młocarka - dlatego gospodarze potrzebowali ludzi do pomocy.

W okolicach Dejnowa byli osadnicy wojskowi koło Trokiele, to była kolonia Trokiele, może około 50 gospodarstw. Potem ich wszystkich Rosjanie wywieźli. Z samego Dejnowa nikogo nie wywieźli w latach 1939/40. My byliśmy już gotowi do wywiezienia, wyznaczeni - jako zamożniejsi gospodarze. Poza nami byli na liście: Grablis, Nos - w sumie pięciu gospodarzy. Ale nie zdążyli nas wywieźć, wszyscy jakoś załatwiali odroczenie; wozili świniaki, bimber robili - to wozili do Kondraciszek do председателя sielsowietu - tak ludzie się ratowali, bo wiedzieli, kogo oni mają na widoku do wywózki. Dlatego z naszej wioski wszyscy ludzie się uratowali, nikt nie został wywieziony. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej nikt w zasadzie nie ucierpiał od nich.

Pamiętam dokładnie, jak Rosjanie przyszli do nas: akurat kopaliśmy kartofle. Wtedy z Białegostoku ludzie uciekali od Niemców, a wpadli w łapy ruskich. Ale ludzie ci wszyscy poprzebierali się w naszej wiosce. Byli ludzie z rodzinami, byli też wojskowi w mundurach. Ale kiedy ci ludzie pozmieniali ubrania, to Rosjanie nie wiedzieli, którzy są nie miejscowi. Gospodarze w wiosce przyjmowali tych uciekinierów do siebie, każdy ratował ich jak mógł. To był obowiązek każdego Polaka. Sołtys - Janek Grablis - tak tych ludzi rozparcelował, po jednej, po dwie rodziny do każdego domu. Grablis przeżył wojnę, on do niczego nie należał i do dziś dnia tam mieszka - żył, kiedy byłem w Dejnowie 2 lata temu. Mimo iż był sołtysem, Rosjanie go nie wywieźli, wykupił się łapówką. A był kandydatem na wywózkę i jako sołtys i jako gospodarz - miał 25 hektarów. Ale ludzie też robili takie listy, podpisywali się, że on nikogo nie skrzywdził nigdy, że pomagał biednym...

Byłem w polu, kopaliśmy kartofle, razem z nami byli na polu ci z Białegostoku - to byli pocztowcy. Patrzymy w polu - idą drogą-gościncem Rosjanie, z karabinami na sznurkach, brudni, proszą sała pokuszać. Szła ich cała masa, ale nie

zwartym szykiem, ale po dwóch, po trzech.. Przyszli do wioski i wiadomo było, że trzeba nakarmić. Ale nie robili nic złego, nie rabowali, nie czynili gwałtów.

W tym czasie był też ksiądz w Trokielach, nie ruszali go. Księżde posadzili, ale potem, już za drugim przyjściem, po zakończeniu wojny. Oskarżyli go o to, że zaopatrywał partyzantów w leki i opatrunki. To był ksiądz Szotkiewicz. Dostał chyba 10 lat, potem on był w Polsce. Mój brat go odwiedzał. Ksiądz pisał już tu w Polsce do naszej ciotki Maryli Sadochowej listy. A kiedy wrócił z więzienia, to jeszcze mojemu bratu wysyłał paczki do Iagrów... bo księdzu też groziło 25 lat, a brat go bronił. Ten człowiek, który wydał księdza, powiedział, że brat potwierdzi jego zeznania, a brat powiedział, że nie miał z księdzem nic do czynienia, że ksiądz nic nam nie pomagał, o niczym nie wiedział i nic nam nie dawał. A księdza wydał Bolek Łatwis z Cieszkiewów, szwagier Stankucia. Oni też po wojnie chodzili, ukrywali się, takich ludzi masę posadzili. ■

A ksiądz rzeczywiście współpracował z AK. W Trokielach nie było placówki, była w Mikiancach. A z Trokiel byli w oddziale chłopaki, ksiądz o wszystkim wiedział i kiedy były rzeczywiście kłopoty z lekami i opatrunkami, a ksiądz miał możliwości to zorganizować, to nam pomagał. Zaopatrywał nas dobrze. ■

Kiedy przyszli do nas Rosjanie, to każdy chował głowę w piasek bo ludzie wiedzieli, co nam grozi. Pamiętam taką sytuację: przyjechał do nas kiedyś starszy lejtnant - a oni jak potrzebowali zjeść, to nie szli do biednego. Ojciec go nakarmił, jeszcze wódki postawił. Wtedy on się rozgadał, powiedział, że on też pochodzi z zamożniejszej rodziny, ale cała jego rodzina wyginęła. Zaznaczył, że u nas będzie tak samo, że żadnemu zamożniejszemu gospodarzowi nie będzie miejsca, wszystkich rozkuścają. Potem faktycznie tak się okazało, ale wtedy jeszcze nie było mowy o kolchozach w naszych okolicach. Wtedy można było postąpić tak: zrzec się ziemi. Już wtedy obłożyli ludzi podatkami, więc w sielsowiecie

można było zapisać na siebie na przykład tylko 5 hektarów. Ojciec tak zrobił, przyjechała taka komisja, obmierzyła ziemię i zgłoszono, że pozostałą ziemię ojciec zdał na skarb państwa. Ziemi tej nikt z wioski nie wziął, chociaż biedniejszym proponowali przydział, ale nikt cudzego nie brał, tak że w rezultacie ludzie po cichu tę ziemię obrabiali - każdy swoje. Ale po tym odpisaniu ojciec już nie musiał płacić takiego podatku i nie zaliczał się do kuliaków. A podatek był skalkulowany tak, że jak się zapłaciło za pierwszym razem, to dostało się potem w potrójnym wymiarze. W latach 1939-41 to jeszcze nie było tak dokuczliwe, jak potem.

Przed wojną mieliśmy już rower, a rower kosztował coś ze 150 złotych. Mieliśmy już radio ze słuchawkami. We wsi radio miały może ze 3-4 rodziny. Dom mieliśmy kryty blachą, nie słomą. Mieliśmy też podłogę, a we wsi było rozmaicie: były domy kryte gontem, zamożniejsze domy były kryte dachówką.

Do szkoły do Dejnowa przyjechał nauczyciel z Białorusi, z Homla. Uczył po rosyjsku, ja też się u niego uczyłem. Poszedłem od razu do IV klasy. Liter rosyjskich nauczyłem się sam przez siebie. Były też dwie nauczycielki potem, uważały się za Rosjanki, ale to były Białorusinki. Te dziewczyny były u nas kupe lat, stołowały się przy nas. Kiedyś nauczycielka przywiozła portrety: Stalina, Woroszyłowa i inne i te portrety nabijała na ścianę w szkole. A ojciec nasz wrócił podпиты i poszedł do niej z młotkiem - niby pomagać. A wiadomo, jak ojciec kochał komunę... strasznie. Bije temu Stalinowi po łbie i przeklinał, a nauczycielka na to, że przy niej może robić, co chce, ale gdyby zrobił coś takiego przy kimś innym, to już tego świata nie oglądałby. Portrety powiesili na ścianach, bo nauczycielka odpowiadała za to. Oni nam płacili za mieszkanie, a mieliśmy dom na dwa końce, z kuchnią pośrodku. Ojciec już tak budował - jak nas było dwóch, żeby każdy miał potem część. ■

Nauczycielka z moją pomocą w 1941 roku, kiedy przyszli Niemcy, nosiła te rosyjskie książki do takiej jamy po kartoflach, żeby śladu po nich nie było.

Pilinko Franciszek c.d. - 5 -

Nauczycielki te z chwilą przyjscia Niemców uiekiy, ale w roku 1944, kiedy ponownie wrócili Rosjanie, wróciły i one. Te dziewczyny wiedziały dużo o nas AK-owcach, w tych latach już powojennych. Widziały, że nasz brat przychodził czasem do domu. Nauczycielki te zaczęły chodzić do kościoła. Ktoś doniósł o tym władzom i pewnej niedzieli przyjechali z MGB. Dziewczyny szły akurat do kościoła, ale ktoś przed Trokielami wyszedł na drogę i je ostrzegł. Dziewczyny te były bardzo uczciwe. Na imię miały Nadzia i Anna.

Nauczycielki te wiedziały, że w nocy do naszego domu przychodzą czasami nasi chłopcy z lasu, ale nigdy nikomu nic nie powiedziały, nawet po sąsiedzku. Do jednej z nich zaczął chodzić taki Borys - to był urzędnik, który pilnował, żeby gospodarze wypełniali normy wywózki lasu. Brat mój w tym czasie już się ukrywał, to już było po oficjalnym rozwiązaniu AK, ale oddziały niektóre nie rozwiązały się - wiadomo było, że za nim już chodziło Czeka. Otóż ten Borys - ruski to był czwłowiek z frontu, dbał przede wszystkim o to, żeby wypić i zjeść. Chciał żenić się z jedną z tych nauczycielek. Pewnego wieczoru brat przyszedł do domu, to znaczy nie do mieszkania, ale do szopki koło domu. Widzi, że w domu jeszcze się pali światło, więc czeka, żeby ktoś z domu wyszedł. A w tej szopce była słoma, na słomie leżał pijany Borys i chrapał. Brat sądził, że to świnię chrząkają, ale mama wyszła i powiedziała, że to Borys. Brat się wcale nie przejął. Borys też domyślał się niektórych spraw, ale nie robił ludziom nic złego.

Nasza miejscowa ludność trochę już współpracowała z Rosjanami - może dwie czy trzy osoby - jeszcze w czasie pierwszej okupacji sowieckiej. Była jedna przedwojenna nauczycielka, uciekinierka z białostockiego. Ona zatrzymała się u jednego z gospodarzy. Chodziły słuchy, że nauczycielka ta donosiła Rosjanom; ona też interesowała się wywożonymi, starała się coś urwać z ich dobytku. Potem nauczycielka ta gdzieś wyjechała, nie została u nas.

Z naszej wsi w latach 1939-1941 Rosjanie nie zabrali nikogo do wojska radzieckiego, ani do szkół FZO, FZO to było

to było później. Od nas wtedy nikogo nie zabrali.

Od Niemców nasza wioska nie doznała żadnej krzywdy, chociaż Niemcy też wymagali, ludzie zdawali kontyngenty - i mięso i zboże. Ale jeśli Niemiec przyjechał i zobaczył u gospodarza ładną klacz czy co innego, to jeszcze pochwalił tego gospodarza. Niemcy nie rabowali.

W naszych okolicach była partyzantka ruska, do oddziałów poszli Rosjanie, których wojna 1941 roku zastała na naszych terenach, i Żydzi. Oni byli m.in. koło Papaszanów. A koło Bastun Niemcy mieli pompę - pompowali wodę do pociągów, dyżurowało ich może 50 osób. Ktoś dał Niemcom znać, że w Papaszanach są Żydzi i kilku Niemców bez rozważenia pobiegło do tej wioski, a tam tych partyzantów była masa; do Papaszan oni przyszli jako do swojej bazy. Zabili wówczas dwóch Niemców, a jeden uciekł. Na drugi dzień przyjechał oddział niemiecki z Lidy, może ze 200 osób. Spalili Papaszany. Ludzie we wsi ucierpieli, a tam byli zamożni gospodarze nienawidzili tych komunistów. Ale w strachu przed Niemcami ludzie pouciekali, Niemcy spalili pustą wieś; kiedy ludzie wrócili, to już zabudowania były spalone. A Niemcy wracali przez naszą wieś, kazali dać sobie obiad, ale nikomu krzywdy nie zrobili. Nie znajdzie u nas nikt człowieka, który mógłby powiedzieć, że był skrzywdzony przez Niemców. W naszej wsi nie było łapanek na przymusowe roboty. Może częściowo tak było dlatego, że u nas ludzie chorowali na tyfus. Koło wsi były wkopane tablice z napisem "tyfus" i chociaż potem już tyfusu nie było, to tablice zostały. ■

strona B

W naszej wiosce było może około 40 gospodarstw i nie było ani jednego domu, który nie byłby związany z AK. Kiedy do wsi przyjechał komendant placówki, to wszyscy dobrowolnie się zapisali, a potem, kiedy już brat szedł do oddziału / a miał wtedy 17 lat/, to dostał wezwanie. Brat był w oddziale w lesie, z wioski w oddziale był Pipir Władek - był potem sądzony tak samo jak i brat, aresztowany w 1949 roku, bo też się ukrywał. W Dejnowie była placówka AK.

Pilinko Franciszek c.d. - 7 -

Wies, w której była placówka, musiała być zgrana, naród musiał być solidarny; nic nie można było mówić na zewnątrz. bo przecież były oddziały, do wsi przynoszono rannych. We wsi nie było szpitala polowego, rannych lokowano po gospodarzach. Dużo rannych było po bitwie koło Poczerni, wtedy rannych rozlokowano właśnie po wioskach. Czterech rannych leżało w Dejnowie. Dużo rannych było, jak weszli Rosjanie, bo wtedy było masakrowanie naszych.

Rannych trzymano normalnie w domach na łóżkach, kobiety ich pielęgnowały. Ale na wypadek, gdyby do wsi weszli Rosjanie, były zrobione skrytki. To były wykopane jamy pod domami, zamaskowane. To było potrzebne, bo jeszcze dużo oddziałów funkcjonowało, kiedy rozwiązano AK. Przecież i oddział Krysia został rozbity dopiero po wojnie. Po wojnie zginął też Iskra.

To był rok 1946 a może i 1947. Oddział Iskry stacjonował wtedy w Dojlidkach, wszyscy żołnierze byli pod bronią i byli bardzo dobrze uzbrojeni. Iskra /nazwisko: Łoszakiewicz/ z kilku chłopakami przyszedł wtedy do Dejnowa, za nim przez Dejnowo miał się wycofywać oddział. Iskra z chłopakami, tak jak to było zawsze, we wsi u nas zjadł, trochę wypił. Przed wioską był wystawiony na straży człowiek - nasz, wioskowy. Człowiek ten zobaczył, że do wsi jedzie samochód. To był samochód ciężarowy z żołnierzami - było ich może 30. Zanim wartownik dobiegł, to samochód już podjechał bliżej. Iskra powinien był się schować, ale on był trochę podпиты - wyskoczył na podwórko i pociągnął serię z automatu. Rosjanie wtedy zeskoczyli z ciężarówki i zaczęli strzelać. Iskra przebiegł jeszcze może ze 200 metrów i padł skoszony serią. W tym czasie chłopcy z oddziału w Dojlidkach usłyszeli strzelanie i szli Iskrze na pomoc. Ale od strony Lidy nadjeżdżał już drugi samochód z Rosjanami. Nasi zorientowali się, że to już nie przelewki, że nie dadzą rady. Podapalili więc stodołę w Dejnowie /to była stodoła naszego wuja/ i w tym dymie się wycofali. Wtedy Rosjanie zaczęli palić wies.

Ciało Iskry wrzucili na ciężarówkę i powieźli do Dworzyszcz. W Dworzyszczach trzymali je chyba ze 3 dni -

chcieli upewnić się, czy to rzeczywiście Iskra, bo oni na Iskrę polowali, po to był w Dworzyszczach garnizon. A to był rzeczywiście Iskra, w pełnym umundurowaniu, z orzełkiem, w pełnym rynsztunku. Co się stało z ciałem Iskry, nikt nie wie: może ruscy gdzieś je spalili, może zakopali. Miejsce pochówku nie jest znane.

Znałem chłopaków z oddziału Iskry, dzisiaj już prawie nikt z nich nie żyje. To byli chłopcy z wiosek w promieniu 10-20 kilometrów od Dejnowa, niektórzy byli nawet z Niecieczy koło Bielicy. Kiedy Iskra zginął, a była to wiosna /bo akurat siało się zboża jare/ chyba 1946 roku, oddział liczył 35 osób. Po śmierci dowódcy oddział się rozproszył, część chłopców wpadło w ręce Rosjan. Dostali wyroki.

Z Dejnowa wyroki dostaliśmy my z bratem i ojcem. Władek Pipir - był u Ragnara, dostał 25 lat. U Ragnera był z moim bratem. 25 lat dostał też Józef Żuk - on nie był w oddziale, był na placówce. Żuk wyszedł w czasie amnestii po śmierci Stalina, był już starszym człowiekiem, ze zdrowiem było kruch. Wrócił do Dejnowa. Na wieś wrócił też Władek Piper, do Polski nie wyjechał. Władek już nie żyje.

Siedział też Janek Nos. Więcej wyroków z naszej wsi nie było. Ludzie u nas nie wydawali. A nas - mnie i brata oni mieli już na listach. Ojciec początkowo na liście nie był.

Po śmierci Iskry czterech chłopcy z jego oddziału chodzili aż do 1948 roku z bronią: Żemojtel, Łtwis, Stankuć, Miszka, Dojlidko, Łaszak Bolek. Oni byli już bez żadnego stopnia, bez żadnego dowodzenia - ale ukrywali się z bronią. Takie chodzenie nie miało już sensu, ale oni nie chcieli poddawać się, bo i tak czekały ich tylko łagry. Woleli więc, żeby ich zabili. Ale potem złapali Łatwisa. Łatwis wydał, m.in. księdza i mojego ojca. Powiedział, że ojciec karmił, pomagał. A za pomoc oni też sądzili. Bo mnie i brata to Rosjanie już dawno mieli na liście.

Brat wtedy pojechał do Wilna, ktoś mu obiecał wyrobić dokumenty, ale zamiast dokumentów zgłosił go na UB. To było w 1948 roku.

Pilinko Franciszek c.d. - 9 -

Przez te cztery lata 1944-1948 - od zakończenia wojny aż do aresztowania brat musiał się ukrywać. Był z bronią, ukrywał się przeważnie po znajomych. Niektórzy skończyli inaczej, bo na przykład Stankuc się nie poddał, zastrzelił się. To było po aresztowaniu Łatwisa. Zostało ich w grupie pięciu. Byli we wsi Pietrykańce. Rosjanie ich tam wyśledzili, a udało im się to dlatego, że w grupie był też człowiek podeśłany przez Rosjan. To był Masiel. Masiel się nie zdradzał, chodził z oddziałem pół roku, nocował we wszystkich miejscach, u wszystkich gospodarzy, którzy przyjmowali oddział. Masiel nie był człowiekiem obcym, pochodził ze wsi Łasuny koło Bastun. Wszyscy znali też jego ojca, to był dobry gospodarz, uczciwy człowiek: a syn taki sprzedawczyk, prowokator.

Masiel w czasie wojny nie był w oddziale, nie był zaprzysiężony. Przyłączając się do chłopaków chciał uniknąć kary, bo podobno popełnił jakieś przestępstwo kryminalne. Po jakimś czasie można było się zorientować, że coś z nim jest nie tak, bo on dostarczał chłopcom dużo amunicji i to w dodatku nowej. Z czasem chłopcy mieli go sprawdzić, ale się nie spieszyli, no bo przecież pochodził z uczciwej rodziny. A on tymczasem dorwał się gdzieś do telefonu i sprowadził na oddział Rosjan z Iwja. Wtedy wzięli Masiela i Łatwisa. Masiel potem w więzieniu był klawiszem, stawał na ocne stawki. Nie dostał wyroku, ale nie wrócił na wies, gdzieś wyjechał. Rodzinie Masiela nikt krzywdy nie czynił, ale na niego czatowali chłopaki, którzy się nie ujawnili, którzy się jeszcze ukrywali. Ale on się nie pojawił. Gdyby się pojawił, to na nim na pewno zostałby wykonany wyrok. Część chłopców jeszcze czekała, że a nuż się jeszcze coś zmieni, że może jeszcze będzie wojna...

Wtedy, gdy aresztowano Masiela, Żemojtel ze Stankuciem spali w innym domu. Rosjanie przeszukiwali wisokę. Zaczęli stukać do domu, w którym oni spali. Ci nie pozwolili gospodyni otwierać /a to było nad ranem/, wyskoczyli przez okno, rzucili w kierunku ruskich granat i puscili serię -

zaczęli uciekać. Żemojtel został ranny w nogę, próbował jeszcze uciekać, ale miał but pełen krwi. Zaszedł wtedy za płot, przeszedł ten płot, żeby zgubić ślad, wziął konia i na koniu uciekł. Józef Żemojtel był ze wsi Gierwince. On był też wtedy wcześniej z Iskrą, w Dejnowie.

A Józef Stankuć był z Pożyzmy /koło Mikianców/. Stankuć uciekał chyba ze 4 kilometry, biegł w kierunku Poltnicy. Gdyby wbiegł do wioski, to wioska go ukryłaby, bo tam znało go każde dziecko. Ale on bał się, że wioska może już jest okrążona. Przystanął więc koło domu, ale widział już Rosjan nadjeżdżających na koniach. Dał do nich serię i skierował się w stronę rzeczki Redy. Chciał w rzeczce zgubić ślad. Ale już było za późno. W tej rzeczce go zabili. Ciało Stankucia zabrali i też nikt nie wie, co z nim zrobili. Miejsce pochówku nieznane. Mówiono, że ciało zostało prawdopodobnie spalone, ale tego nikt nie wie.

A Żemojtel zginął przez jednego zdrajcę, który go zastrzelił. Żemojtel ukrywał się najdłużej, już my wszyscy byliśmy aresztowani; dlatego nie znam wszystkiego dokładnie, wiem tylko, że to było koło Bastun. Ten zabójca miał broń od Rosjan, zastrzelił Żemojtla u siebie w domu, potem wezwał funkcjonariuszy NKGB. Ci przyjechali samochodem, wywieźli ciało za wieś, rozpoczęli strzelaninę, żeby upozorować, że do zastrzelenia doszło za wioską. Ale żona Żemojtla identyfikowała potem ciało męża i mówiła mi, że Józef został zabity z bliska, że miał wyrwany kawałek ciała. Żemojtlowa potem też siedziała, opowiadała mi to, kiedy ją odwiedziłem już po odsiedzeniu wyroku. Ten zdrajca nazywał się Żemojć. Nie wiem, jaką nagrodę dostał Żemojć od Rosjan, ale na nim został przez naszych wykonany wyrok. Ludzie we wsi już na drugi dzień po śmierci Żemojtla mówili, że to Żemojć go zabił, bo ludzie widzieli, jak z jego domu wynoszono ciało na samochód. Żemojć po zabiciu Żemojtla pożył jeszcze może około miesiąca.

Wdowa po Żemojtlu i jego córka siedziały też. Dostały po 10 lat. Potem wróciły do siebie, nie przyjechały do Polski.

Żemojtlowa dostała wyrok, bo Masiel powiedział, że ona kontaktowała się z mężem, odwiedzała go na postoju w lesie czy w innych miejscach. Wtedy u nas posadzili masę ludzi: dwóch Świrydów z Poltnicy - dostali wyrok za wspomaganie, chociaż oni też byli w oddziale, ale nikt tego nie ujawnił, nie wydał /tak właśnie przetrwało sporo chłopaków, których nikt nie wydał/. Bracia Świrydowie to był Janek i Broniek. Siedział Staszek Żuk z Poltnicy, za wspomaganie, chociaż on też był w oddziale - u Krysi. ■

W tych latach były akcje naszego podziemia przeciwko nowym władzom, m.in. w Trokielach. Podziemie wydawało wyroki na tych funkcjonariuszy, którzy gnębili ludzi. Niektórzy, jak ten wspomniany Borys, byli do zniesienia. Borys robił dużo szumu, jak przyjeżdżali z rejonu, to on klął na miejscowych ludzi, bluźnił, czasami nawet kogoś kopnął w tyłek, ale nikogo zimą do wywózki lasu nie wypędził, nikogo nie podał do sądu, ani kary nie nałożył.

A w Gimbutach też we władzach był frontowiec, były wojskowy, ale to był zajadły komunista. Na nim został wykonany wyrok, został zastrzelony. Wyrok wykonano też na przewodniczącym w Hermaniszkach - ten też był niedobry dla ludności. W Trokielach też zastrzelono przewodniczącego sielsowietu. To było w latach 1946-47, to były najgorsze lata. ■

Pod koniec 1946 roku chłopaki Stankucia i Żemojtla rozbili garnizon sowieckiej milicji w Żyźmie. Milicja tam była paskudna.

Nazwisko Durysa słyszałem. Mój brat był u Durysa, Durys działał w okolicach Lidy; a w okolicach Trokiel byli Żemojtel, Stankuc, Łaszak, Miszka. Szefem oddziału był Żemojtel. Mój brat po raz pierwszy spotkał Durysa w Mihunach w 1946 roku.

taśma II

Kiedyś Durys nocował u mojego wuja Michała Chodyki. Wuj powiedział, że mój brat też się ukrywa - Wacław. Wujek wiedział, że Wacek ukrywa się u jednego gospodarza w Mihunach. Podał Durysowi nazwisko tego gospodarza - Janek Zwolnik. No i Durys kiedyś zajrzał do Mihunów, rozmawiał z moim bratem, ale

brat nie zgodził się przejść do oddziału Durysa. Durys wtedy przeprowadzał wiele akcji. Nie wiem, czy w czasie wojny Durys należał do AK, czy był zaprzysiężony, czy też od samego początku działał na własną rękę. Nie chciałbym krzywdzić człowieka. Mój brat zna te sprawy, miał potem z Durysem łączność, pomagali sobie wzajemnie w przeprowadzaniu akcji.

Ja związałem się z AK w czerwcu-lipcu 1943 roku. AK chciała mieć pewnych ludzi na placówce. Ponieważ mój brat był już w tym czasie w oddziale, to mi AKowcy dowierzali. Ze mną rozmawiał komendant placówki osobiście - to był Rodziewicz. Pierwsza moja akcja - akcja w Dworzyszczach. Niemcy aresztowali kilku AKowców, trzeba było zrobić zasadzkę na drodze do Lidy. To było niedaleko Owsiadowa. Obstawiliśmy kawałek drogi, przygotowaliśmy drzewo podpiłowane, żeby zatrzymać transport... Odbiliśmy wtedy tych chłopaków, to byli AKowcy z Narkun.

Byłem zaprzysiężony. Wtedy placówka AK była w Mikiancach. Wtedy placówka była też w Narkunach, w Hermaniszkach - tam to była na plebanii, mieli tam drukarnię. Proboszcza z Hermaniszek nikt nie wydał. Była wydawana gazetka, ale nie pamiętam jej tytułu. Inna placówka była w kierunku na Lipniszki, ze 7 kilometrów od nas.

W tej gazetce AKowskiej pisali o tym, co się dzieje w naszej okolicy, gdzie się odbyła jakaś akcja, m.in. o tym, jak wykurzyli litewską policję ze szkoły w Bieniakoniach, a tam ich była siła. Znana była akcja w Dworzyszczach, kiedy nasi chłopcy przebrani w niemieckie mundury rozbroili tam Niemców.

Podczas tej serii egzekucji, które przeprowadzali Rosjanie, zginął nasz komendant Rodziewicz. Rodziewicza wzięli w domu w Mikiancach, a w Trokielach stał garnizon rosyjski. Wtedy w Trokielach powiesili razem z Rodziewiczem chyba 6 osób. Nie było żadnego procesu, tylko od razu egzekucja. Powieszoni wisieli chyba ze trzy dni, to było przy wjeździe do Trokiel ze strony Dworzyszcz - z prawej strony, na niezabudowanym terenie. Ciała powieszonych zabrano do

Lidy i chyba spalono; miejsce pochówku nie jest znane. W Lidzie stracono też Pazurkiewicza.

Rodziewicz stracono w Trokielach, on był inwalidą, nie miał ręki. Był przedwojennym porucznikiem, miał głowę do dowodzenia. Nie wiem, jak on dopuścił się, że go wzięli. Mogli przecież domyślić się, że komendanta placówki nie puszczą. Jego teren sięgał od Bastun, Pietrykany, Mihuny, Ejtny, Poltpice aż po Hermaniszki - to spory kawałek. On decydował o tym, kogo przyjąć do oddziału i o innych sprawach.

Po wejściu Rosjan my też ukrywaliśmy się, ale już bez broni. Mielśmy kolegę z Litwy, który też się ukrywał - Franek. Franek potem się od nas odłączył, wrócił w swoje strony, ale znał nasze kryjówki. Nas było czterech, zatrzymywaliśmy się u znajomych w różnych wsiach na kilka dni lub do dwóch tygodni. Przez dłuższy czas chodziliśmy z bronią, potem zrozumieliśmy, że to już nie nam nie da, bo i tak się nie obronimy. Wtedy akurat byliśmy w naszej wiosce. Był maj, piękna pogoda. Zastanawialiśmy się, czy iść do kryjówki, czy zostać na wierzchu. Chowaliśmy się wtedy u sąsiada Misury. Misura nie był podejrzany dla Rosjan. Położyliśmy się spać na wierzchu. W nocy Rosjanie spadli na naszą szopę jak tygrysy. Wiedzieli, że możemy tu być od tego Litwina Franka, którego wzięli. Jak nas zaskoczyli, to chłopaków związali od razu. A ja zdążyłem się schować za deski. Oni wyprowadzili chłopaków, ale jeszcze raz wrócili do szopy i zobaczyli, że jedno ubranie leży niczyje. Zrozumieli, że w szopie jeszcze ktoś się ukrywa. Nie było już dla mnie wyjścia.

Razem ze mną byli wtedy: Janek Pipir /jego brat też był w podziemiu, tak jak i mój/, Furman Marian i Żuk Wacław. Wszyscy czterej z Dejnowa. Wszyscy dostaliśmy taki sam wyrok. Z naszej czwórki jeden jest w Chociwielu... przeżyliśmy wszyscy i przyjechali do Polski.

Misura był też zabrany, ale on się wyparł, powiedział, że nic nie wie o nas, że samowolnie wleźliśmy do tej szopy.

My też gospodarza nie wydaliśmy, a schronu wykopanego w szopie Rosjanie nie wykryli. Misura wiedział o schronie, pomagał nam go kopać...

Z innych gospodarzy, którzy nas ukrywali, też nikt nie ucierpiał, nikogo nie wydaliśmy. A ukrywaliśmy się przecież w Mikiancach u Żołudziejewicza, w Pieciunach u Waszkiewiczów, w Poltnicy u Świrydów, w Gimbutach u Jankur, w Lingiach u Waszkiewiczów. Takie schrony mieliśmy prawie w każdej wiosce, każdy gospodarz nas przechował i nakarmił. Ale zbyt długo nie mogliśmy u nikogo siedzieć, bo nikt nie mógł nas długo żywić, byliśmy ciężarem. Przecież nic nie mogliśmy zdobyć, porzuciliśmy już broń. Początkowo czekaliśmy, że będzie wojna, wszystkie oddziały tak czekały. A potem ujawnić się nie było możliwości. Na to, że Amerykanie zaczną walczyć z Rosją liczyli nie tylko ludzie prości, ale dużo ludzi mądrych. Przez to masa ludzi poginęła.

Przecież bitwę nasi z Rosjanami stoczyli koło Poczerni. Akowców było ze 120, to była już zbieranina z różnych oddziałów, niedobitki. Dowodził Misiąg, on był w jakimś oddziale plutonowym. Oddział ten miał zamiar wycofać się gdzie indziej, ale ruskim doniesiono o miejscu postoju. Nad ranem Rosjanie zaatakowali. Masakra trwała ze 3 godziny. Zginęło 20 AKowców, ale ruskich też było sporo zabitych. Potem tych rannych spod Poczerni rozlokowali po naszych wioskach. To my musieliśmy o to już zadbać. Bitwa ta miała miejsce już pod koniec 1946 roku, jesienią. Rosjanie przeczesywali wsie, szukali rannych.

W Trokielach na koloniach była sanitariuszka - Korenik Regina. Ona właśnie rozwoziła tych rannych spod Poczerni. Sanitariuszkę tę Rosjanie złapali, wieźli ją do Dworzyszcz, bo tam właśnie stacjonowali. Sanitariuszka ta wyskoczyła na Dworzyskim moście - i zabiła się, bo tam nie było tak głęboko, żeby utonąć. Dziewczyna siedziała pomiędzy dwoma NKAWDzistami, ale na moście oni zeszli z furmanki, żeby zapalić. Dziewczyna wykorzystała ten moment i poszła głową w dół - zabiła się.

Dziewczyna ta była z kolonii w Trokielach, z tak zwanych mazurów. Nie była wywieziona, bo była z jakiejś biedniejszej rodziny. Wszystkich zamożniejszych osadników wywieźli. A niektórzy mężczyźni wtedy uciekli. Mężczyźni ci byli potem w niemieckiej policji, wielu z nich zostało potem zastrzelonych przez partyzantów sowieckich. ■

Na naszych terenach zanim powstała nasza polska partyzantka, to rządziła ruska partyzantka. W policji byli Narkun i Biler, właśnie w Trokielach mieli te funkcje. Rodziny ich były wywiezione przez Rosjan. Obaj byli osadnikami. Oni nie współpracowali z AK, zostali zlikwidowani wcześniej przez ruską partyzantkę, nie doczekali AK. Gdyby oni doczekali AK, to na pewno nie byłiby w niemieckiej policji, tylko w AK, bo to byli świadomi Polacy.

Zanim mnie aresztowali, to kołchozów u nas jeszcze nie było. Ale była już propaganda, że trzeba tworzyć kolektywy. Agitatorzy przyjeżdżali z sielsowietu, z Lidy. Sielsowiet mieścił się już wtedy w Trokielach. Właśnie takiego aktywnego przedsiębiorcy z Trokiel organizacja zlikwidowała.

Po wojnie powstała już ruska szkoła, przez jakiś czas była nawet w Dejnowie, ale w 1947 roku już u nas szkoły nie było, została przeniesiona do Trokiel. Nową administrację tworzyli przeważnie ludzie, którzy przychodzili do nas zza Niemna, Białorusini, ruscy partyzanci, Żydzi.

Przed wojną w Trokielach było może z 6 rodzin żydowskich, był kowal, sklepikarze. Potem ci wszyscy prawie Żydzi byli w partyzantce - mężczyźni, a kobiety i dzieci trafiły do getta. Getto było w Lidzie i w Werenowie. W Werenowie getto zlikwidowali Litwini - szaulisi, a w Lidzie sami Niemcy. Ci Żydzi, którzy trafili do partyzantki sowieckiej, później po wojnie rządzili i jak ktoś miał z nimi na pieńku, to miał potem niewesoło. Spotykałem niektórych z tych Żydów, z którymi chodziłem przed wojną w Trokielach do szkoły - Chaima. W szkole mówiliśmy na niego: "Żyd smarkaty", a on potem mi przypominał, jak był w

oddziale, że razem chodziliśmy do szkoły. Oddział ten przyjeżdżał nieraz do naszej wsi, wyznaczał, kto ile czego ma przynieść - ile jajek, ile mąki, ile mięsa. Ludzie nie zgłaszali tego Niemcom, ale jak się pojawiła polska partyzantka, to już tej żydowskiej ludzie nie tolerowali, donosili naszym.

A ten Chaim po wojnie był w Lidzie, zarządzał głównymi składami - magazynami żywnościowymi, ale ja go nie widziałem.

Nazwisko mojego śledczego musiałem znać, bo to ogłaszali w wyroku, ale dzisiaj już nie pamiętam. Kiedy zostałem aresztowany, to zawieziono mnie do Wilna. W areszcie tak zwanym kpz byłem chyba ze dwa tygodnie. Przypominam sobie z wdzięcznością śledczego Litwina, który zapisywał wszystko, co ja powiedziałem; do niczego mnie nie zmuszał. To był porucznik.

strona B

Przesłuchiwało mnie bez tłumacza, rozumieliśmy rosyjski, chodziłem do rosyjskiej szkoły w 1940 roku. Znałem język może niedoskonale, płałem białoruski i rosyjski, ale to wystarczyło dla śledztwa.

Kiedy byłem niedawno w Wilnie, to chciałbym nawet odszukać tego śledczego i podziękować mu za to, że tak mnie przesłuchiwał. A kiedy mnie przekazali na Białoruś, to tu już łaski nie prosili, śledztwo było całkiem inne. Najbardziej męczące było pozbawianie snu. Żądali nazwisk, miejsc, nowych nazwisk - żeby jak najwięcej ludzi zgarnąć. Na śledztwo brali najczęściej w środku nocy. Śledczy sobie popija kawkę, a ty stoisz do rana, doprowadzają cię do kresu wytrzymałości. Przychodziło jeszcze 3-4 do pomocy i żądali przyznania się do tego, co oni podsunęli, a oni wiedzieli dużo, bo nasi ludzie też różni byli, niektórzy i donosili. Ja mówię, że w naszej wsi sprzedawczyków nie było, ale nigdy pewności nie mam.

Bo na przykład chłopaki z Dojlidek robili taką czystkę, że jak nocą przeszli przez wioskę swoją i sąsiednie, to z każdej 2-3 sprzedawczyków wzięli. Na zdrajcach wykonywali

wyroki na miejscu, w domu. W Dojlidkach pół wioski było ludzi o nazwisku Dojlidko. Jeden Dojlidko był w oddziale, a na dwóch innych został wykonany wyrok za donosicielstwo. W Poltnicy został wykonany wyrok na Borusiewiczzu. Wyroków było dużo, na Polaków też.

To było na zasadzie: ja ukrywam się, bo ja muszę, dlaczego więc ty mnie sprzedajesz bezinteresownie, co ty z tego masz? Wyrabiasz sobie u Rosjan markę, przywileje? Gdyby to jeszcze chodziło o obcych, ale to robili nasi, swoi ludzie. Dla takich litosci nie było. Kościół do takich spraw nie zaglądał, nikt nie pytał księdza o pozwolenie. Zanim wydano na kogoś wyrok, to tego człowieka ostrzegano, doradzano, żeby rzucił donosicielstwo. Wyrok wydawano na podstawie konkretnych faktów, udowodniano konkretne czyny. Mój brat na przykład był przeciwny wydawaniu takich wyroków. Wyroki wydawał dowódca oddziału, takim dowódcą był na przykład Durys. On wydawał wyroki. Kto wykonywał wyrok - inni nie wiedzieli.

A więc mój brat był przeciwny wydawaniu wyroków. Brat miał w swojej wiosce w lesie schron i do tego schronu chodził na noc. A jeden człowiek widział, że on tam chodzi na noc do lasu. To był Żuk Kazimierz, sam też miał syna w oddziale. Może on chciał ratować syna donosząc na innych. Rzeczywiście, jego syn nie siedział. I oto pewnego razu okrążają ten las, nie wioskę czy inne miejsce, ale właśnie las - i stoją do rana: nie przeczesują lasu tylko czatują do rana, czekają, jak brat będzie wychodził po nocy z tej kryjówki. A rano ludzie na wsi wyganiają bydło na pastwiska, i moja mama też popędziła krowę w stronę lasu. Będąc w pobliżu schronu powiedziała bratu, żeby się nie wychylał. I on przesiedział w schronie. A Rosjanie przestali do obiadu, potem się zwinęli i poszli do Dworzyszcz. Brat wtedy poszedł do Żuka i powiedział mu: "Wujku - dziadźka, nie rób więcej tego, bo mogłbym cię teraz zastrzelić, i nigdzie nie znalazłbyś sprawiedliwości". I Żuk zapłakał. A teraz, niedawno, brat mój był w Dejnowie, w gościach - i akurat

stary Żuk umierał. Brat poszedł go odwiedzić. Żuk schwylił go za rękę i prosił o wybaczenie wszystkiego, co on zrobił. Tak to było, może inny nie darowałby - jak ty mnie, tak ja tobie. Ale brat darował. A syn Żuka nie był sądzony, wrócił w 1944 roku z oddziału Krysi i normalnie pracował na gospodarce ojca, jak gdyby nigdy nic. Władze udawały, że wszystko jest w porządku. Stąd było prypuszczenie, że ojciec miał styczność z władzami. Inni tak dobrze nie mieli, na przykład Władek Pipir - też wrócił w 1944 roku do domu, nie miał już styczności z organizacją, jak oddział się rozwiązał, tak i on wrócił. Ale nie był w swojej wiosce, był u krewnych w innej wiosce, pracował tam na gospodarce, orał, pomagał. Nie ruszali go przez dłuższy czas, ale w końcu wymacali i aresztowali. Pipir mówił, że już do niczego nie należy, to zarzucono mu, że należał do oddziału, który walczył z radziecką partyzantką, a oddziały Ragnera, Kotwicza czy Lecha były uważane za wrogie sowietom.

W więzieniu i w łagrach spotkałem dużo Polaków, AKowców. Dużo pomarło w Uchcie i Workucie, ale z naszych okolic ludzie przeważnie przeżyli. Niektórzy wrócili wcześniej, bo początkowo dawali tylko 10 lat. Na przykład Żuk Franek /teraz jest w Szczecinie/ odsiedział swoje, zwolnili go; on wrócił do Dejnowa i dopiero potem przyjechał do Polski. On nie miał ponownej sprawy, bo zdarzało się, że kogoś już po skazaniu sądzili powtórnie - jeżeli okazało się, że należy jeszcze do innej sprawy - i wtedy był ponowny wyrok, dodatkowy.

Zaraz po wojnie w ramach tej pierwszej "repatriacji" z Dejnowa wyjechało do Polski parę rodzin - 4 rodziny: Furman, Wasilewski, Nos i Żuk. To wszystko byli miejscowi ludzie - od dawien dawna mieszkali w Dejnowie. Jeden z nich był zastępcą komendanta w placówce, przedwojenny chorąży. On w placówce prowadził ćwiczenia. To był Józef Furman, zmarł w Szczecinie. Jemu w Dejnowie palił się grunt pod nogami. Wyjechał do Polski z rodziną.

A Wasilewski nie był ani w AK, ani dzieci jego nie

były w organizacji. Nie był też zbyt zamożny. Nie wiem, czemu Michał Wasilewski wyjechał.

A te dwie pozostałe rodziny były podejrzane o współpracę z ruskimi - ich garnizon wyprawił do Polski. Rosjanie pomogli im wyjechać do Polski, żeby u nas im się nie stała krzywda. To byli Żuk Józef i Nos Maciej. Przed wyjazdem ci dwaj złożyli zeznania obciążające tego Żuka, który dostał 10 lat i potem wrócił do Dejnowa. I te zeznania były zupełnie fałszywe. Zeznania te złożyli po zabójstwie Iskry. Kiedy Iskrę zastrzelono, to Franek Żuk przebrał się za kobietę i uciekał /a Żuk nie brał już udziału w organizacji, był w oddziale jeszcze przy okupacji niemieckiej, a potem z oddziału wrócił po rozwiązaniu i był w domu/. Kiedy wioska zaczęła się palić, Żuk się przestraszył, że może być niewesoło i w kobiecym przebraniu chciał uciec ze wsi. A oni powiedzieli, że on był razem z Iskrą, chociaż wszyscy ludzie wiedzieli, że to nieprawda. Ci dwaj fałszywi świadkowie stawali na oczną stawkę, a potem z sądu nie wrócili prawie do domu, tylko przyjechały samochody po ich rodziny i zaraz pojechali do Polski.

A po odbyciu wyroku ten skazany Żuk przyjechał do Polski i spotkał się z nim. Ten krzywoprzysięzca płakał, mówił, że był zagrożony, bo kiedyś przechowywał rannego z bitwy pod Poczernią - chciał wyjechać do Polski, żeby go nie posadzili i Rosjanie postawili warunek, żeby zeznał fałszywie. A to nie jest usprawiedliwienie, bo Rosjanie nic nie wiedzieli o tym rannym i z naszych nikt by go nie wydał.

Dziwiliśmy się nieraz z naszego ojca - dlaczego nie wyjechał zaraz po wojnie? czego się tak kurczowo trzymał? A on na to, że liczył na nową wojnę. Jak ktoś jechał do Lidy, to on nieustannie pytał, co tam słychać, czy będzie wojna. Nie mógł pogodzić się z tym, że trzeba swoje opuścić, swoje gospodarstwo, swój dom. I tak siedzieli większość ludzi - nie starano się o wyjazd do Polski.

A Rosjanie w niektórych wioskach większość Polaków zapisywali jako Białorusinów.

Podczas tej drugiej repatriacji, już po śmierci Stalina, w latach 50-ych z Dejnowa nikt nie wyjechał. Wieś została taka, jaka ja opuściłem pod koniec lat 40-ych. Ludzie nie chcieli wyjeżdżać, mimo, że już były kolchozy. Kolchozy u nas zawiązały się gdzieś w roku 1951 - 1952, a w niektórych wioskach były już podobno w roku 1950.

W naszej wsi teraz każdy przyznaje się do narodowości polskiej, ale ludzie rozmawiają "po prostu". Młodzieży we wsi jest mało, młodzi uciekają do Lidy, do Wilna - do miasta. We wsi zostają same stare grzyby. Wieś należy do sowchozu. Mi się wydaje, że ta wieś zapadła się w jakąś jamę, wszystko jakieś zapuszczone, stare. Gdyby nawet teraz zmienili granice, to nie wróciłbym, w tych latach już nie miałbym tam co robić, nie miałbym już szans. Na roli trzeba być zdrowym. Chyba, że do Lidy, ale to trzeba by wygnąć stamtąd jakiegoś Żyda.

W naszej wsi teraz nie ma żadnych obcych ludzi. W Trokielach jest trochę napływowej ludności - przeważnie Polacy, ale z innych miejscowości. Z Trokiel jest lepsze połączenie - czy do Lidy, czy do Werenowa, czy do Wilna. A Dejnowo zapada się w ziemię, chociaż nikt polskości się nie wyrzeka. Jak się zapyta kogokolwiek: "Kto ty jesteś?", to ludzie odpowiadają: "Polak." - chociaż słowa nie umieją po polsku.